

Tadeusz Biliński

Na skuter wystarczy

Palestra 42/1-2(481-482), 57-63

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tadeusz Biliński

Na skuter wystarczy

Wiele lat temu wynajmowałem mieszkanie w północnym Delhi. Było spore, ale, niestety, pozbawione telefonu.

– Musisz pójść do lokalnego urzędu telefonicznego – powiedział Sunil, mój indyjski przyjaciel – złożyć wniosek i, rzecz jasna, zapłacić. Nie zapomnij butelki whisky.

– Na prezent?

– Możesz to i tak nazwać. Chodzi o to, żeby urzędnik w ogóle zechciał zająć się sprawą. Jeśli nic mu nie dasz, a whisky jest wysoko ceniona, to może się okazać, że twój wniosek został, na przykład, powiedzmy, nieprawidłowo wypełniony. Tu kwestionariusze są takie, że nawet profesor prawa ma problemy ze zrozumieniem, o co w nich chodzi. Wtedy zawędruje na jakąś szafę i będzie na niej zbierał kurz.

Sunil zgodził się towarzyszyć mi do urzędu, za co byłem mu niezwykle wdzięczny, bo indyjskie urzędy należą do najbardziej rozbudowanych labiryntów świata i są prawie równie skomplikowane jak hinduska teoria stworzenia. W sumie jednak, jak się później okazało, działają w nich te same, ogólnoludzkie zasady przyspieszające podejmowanie decyzji. Może tylko w większej skali, ale Indie to przecież kraj ogromny i ludny. Najpierw staliśmy w gigantycznej kolejce po formularz, który wydał nam zmęczony osobnik, jak gdyby uwięziony za zakratowanym okienkiem. Wypełniwszy go starannie, ustawiliśmy się w następnej do pokoju z panem głównym urzędnikiem. Pokój był szczelnie zapelniony petentami. Pod ścianą, zapryskaną czerwoną śliną przeżuwaczy betelu, stała odrapana ławka, niegdyś biała. Siedział na niej starszy, szczupły mężczyzna z dziarsko podwiniętym wąsem i krótką trzcina w rękę. W jasnym ubraniu, świetnie wyprasowanych spodniach i wyglansowanych butach, całkowicie nie pasował do atmosfery przepelnionej zapyziałym brudem, charakteryzującej wszystkie indyjskie urzędy. Jestem emerytowanym oficerem – głosił całą sylwetką. Tak też było. Do stolika pana urzędnika dziarsko przepychał się, z wnioskiem w rękę, jego umundurowany ordynans.

Sunil nie miał ochoty czekać w kolejce, bo też zresztą żadnej kolejki nie było. Stożące na środku pokoju biurko otaczał szczelny, zbity tłum spoconych od upału ludzkich ciał, którym ulgi nie przynosił nawet ślamazarnie kręcący się na suficie wiatrak. Sunil był trenerem tenisowym, miał co nieco mięśni, toteż wspólnymi siłami

zaczęliśmy rozgarniać ludzkie mrowie i po jakiejś godzinie dotarliśmy do stolika. Urzędnik popatrzył na nas chłodno i bez słowa wyciągnął rękę. Podałem wniosek. Wziął go powoli i zaczął studiować. Sunił szturchnął mnie łokciem i wyszeptał:

- Daj mu butelkę!
- Tutaj?!
- Daj mu butelkę, szybko!

Czułem się nadzwyczaj niezręcznie korumpując urzędnika państwowego na oczach setek wpatrzonych we mnie ludzi. Czym innym byłoby wsunąć butelkę cichcem pod biurko, albo wpleść grubą kopertę między liczne stronicze formularza, albo – jakiz to szczyt elegancji – zaprosić na partyjkę pokera i przegrać. Ociągając się wyjąłem jednak whisky z plecaczka. Była owinięta w plastikową reklamówkę zakupioną w przejściu dla pieszych pod skrzyżowaniem Jerozolimskich i Marszałkowskiej, przedstawiającą mocno roznegliżowaną platynową blondynkę z bardzo rozwiniętym biustem, co wywołało porozumiewawcze spojrzenia i chichot stojących najbliżej mężczyzn. Ale cwaniak – musieli sobie myśleć – wie jak podejść naszego babu (pana urzędnika). Podwójny prezent mu daje. Położyłem ją na stole obok wniosku. Babu podniósł wzrok, popatrzył na nas badawczo, czy aby sobie nie kpimy z niego z tą panienką, ale musieliśmy obaj mieć tak psio proszący wzrok, że uznał nas za bona fide petentów. Pomacał butelkę i wyczuwszy wprawnymi palcami jej graniastowość uznał, że Johnny Walker mu odpowiada. Szybko skreślił więc kilka słów, złożył podpis na wniosku i rzucił go na stertę innych po prawej stronie biurka.

- Jutro przyjdzie mechanik – zamruczał i już odpychali nas następnymi wnioskodawcy wsuwając babu pod nos pięć kwestionariuszy na raz.

Następnego dnia czekałem na montera. Przyszedł po południu z kilkunastoletnim pomocnikiem. Przyniósł telefon i zamontował. Pociągnął kabel. Połączył się z centralą. Wszystko działa.

- Musi mu pan odpalić ze dwie stowy – zasugerował mi cicho mój landlord, czyli osoba u której wynajmowałem mieszkanie.

- Przecież już dałem wczoraj butelkę whisky – odpowiedziałem.

- Ale nie jemu, tylko głównemu szefowi.

- No, ale dałem za telefon. Po co mam dawać jeszcze raz?

- Po to, żeby telefon działał – pouczył mnie landlord, jakby tłumaczył dziecku – jak mu pan nie da, to wróci do centrali i odłączy. Będzie się pan wtedy szarpał, żeby naprawili. W sumie zabierze to dużo czasu, nerwów, a i tak w końcu będzie pan musiał zapłacić. Naprawdę, lepiej dać od razu.

Dałem więc, i telefon działał bez zarzutu do końca mojego pobytu w Delhi.

„Zaszczytne” ósme miejsce

Według statystyk, pod względem powszechności korupcji Indie zajmują ósme miejsce wśród pięćdziesięciu kilku krajów świata objętych badaniami. Panuje ona wszędzie. Każdy, kto może wycisnąć nieco gotówki z bliźniego swego i dorobić do pensji, robi to. Tylko dziwacy postępują inaczej. Znajomy artysta, który po wielu

latach pobytu w Anglii powrócił, ze względów patriotycznych, do Indii, zastanawiał się zaraz po wylądowaniu, czy dobrze zrobił.

– Pierwszą łapówkę musiałem dać już na lotnisku, żeby mi zwolnili bagaż. Za wszystko musisz tu płacić. Miesiąc po powrocie przestałem nagle dostawać listy. Ja piszę, a odpowiedzi nie dostaję, cisza. Pytam na poczcie o co chodzi. Patrzą na mnie dziwnie. Kierownik mówi z kpiącym uśmiechem: „Może zapomnieli już o panu w tej Anglii, saab”. W końcu zwierzyłem się przyjaciółom. „A zapłaciłeś listonoszowi?” – pytają. Mówię, że nie, na co oni się śmieją: „To szybko zapłać, zobaczysz, że znajomi sobie zaraz o tobie przypomną!” I mieli rację.

Zamiatacz nie sprzątał przed moim domem – dopóki nie zapłaciłem. Śmieci nie zabierano, a szczególnie latem jest to bardzo uciążliwe. To jest w Indiach straszne. Korupcja zabija ten kraj i ten naród.

Według danych instytutów badania opinii publicznej za najbardziej skorumpowanych społeczeństw ma ministrów. Nie bez powodu, bo ministrem zostaje się w końcu po to, żeby coś z tego mieć. Samochód służbowy, ochrona z kałasznikowem i dość nędzniutka oficjalna pensyjka, to trochę mało. A przecież prawdziwe pieniądze leżą wokoło. Trzeba tylko umiejętnie się po nie schylać. Sposoby są zadziwiająco proste. Najprostszym jest handel stanowiskami. W 1997 roku w stanie Uttar Pradeś, politycznie najważniejszym w Indiach – ma tyle ludności co Rosja i jeszcze trochę, władzę objęła pani Mayawati, szefowa partii niskokastowych. Jej pierwszym ruchem stały się transfery urzędników, przenoszonych po całym stanie. Zwolnione miejsca wystawiano „na sprzedaż”. W gruncie rzeczy w stanie są do wzięcia, za odpowiednią cenę, bynajmniej nie tylko pozycje dyrektorskie. Taki na przykład niepiśmienny „peon” albo „chowkidar” – goniec i stróż, musi słono zapłacić za pozycję w dobrym, strategicznym miejscu: na przykład w ministerstwie rolnictwa, a w szczególności w departamencie, który wycenia szkody powodziowe. Peon nosi dokumenty. Może donieść, albo i nie donieść. Może donieść na czas, albo opóźnić się znacznie. Dokument może zaginać, ba, zdarza się, taki los. Co można na to poradzić? Chowkidar może nie wpuścić petenta. Może mu powiedzieć, że właściwy urzędnik wyszedł i nie wiadomo kiedy wróci. A może powiedzieć, że wie. Może pomóc, może przyprowadzić, wskazać, może słówko szepnąć. Takie życie. Więc, żeby zostać peonem albo chowkidarem płaci się i po sto tysięcy rupii – jakieś dwa i pół tysiąca dolarów, przy oficjalnej pensji coś koło tysiąca sześciuset. Ale i tak się to zwraca. Żeby zostać dyrektorem departamentu, albo wyższym urzędnikiem, płaci się nierzadko 3–5 milionów rupii. Co z tymi pieniędzmi robi rząd – no na co tam idą, częściowo na partię, częściowo do własnej kieszeni. O jednym z nieżyjących już Chief Ministrów jednego z mniej ważnych stanów mówiono, że corocznie brał do kieszeni siedemset milionów rupii. Czy był najbardziej skorumpowany w całych Indiach? Ba, kto to może wiedzieć.

Kiedy czas pani Mayawati dobiegł końca i władzę przejął pan Kalyan Singh, szef partii wysokokastowych sytuacja się powtórzyła. Ponieważ nowy Chief Minister rządu stanowego wyłuskał z opozycyjnych ugrupowań w parlamencie kilkudziesięciu posłów, co zapewniło mu większość w izbie ustawodawczej, musiał im coś

w zamian ofiarować. Koniec końców ludzie nie ryzykują zmiany barw partyjnych dla ideologii czy pryncypiów. Dzięki temu w Uttar Pradeś powstał największy gabinet na świecie, złożony z dziewięćdziesięciu pięciu ministrów. Żeby wszystkich obdarować podzielono ministerstwa, na przykład z ministerstwa oświaty utworzono odrębne ministerstwa szkolnictwa podstawowego, wyższego i medycznego. Ministerstwo rolnictwa również podzielono na trzy, i tak dalej, wszystko, naturalnie było merytorycznie uzasadnione, o czym z pełną powagą informowali w telewizyjnych wywiadach nowi szefowie resortów.

Następnym najbardziej skorumpowanym rodzajem służby publicznej jest policja.

– Niższe szarże łupią biedaków, wyższe żyją ze współpracy z mafią i przemysłnikami – mówił Sunil. – Taki konstabl chodzi sobie po bazarze z pałką i karabinem. Codziennie handlarze warzyw i owoców muszą się opłacać. Jeśli nie zapłacą, to dostaną kijem, albo powędrują do aresztu pod jakimkolwiek nieprawdziwym zarzutem. A to nie jest czterdzieści osiem godzin i na wolność. To się nierzadko kończy brutalnymi torturami i śmiercią. Z naszą policją nie ma żartów. Dlatego do policji, nędznie opłacanej i źle wyposażonej stoją kolejki chętnych. Czemu w innym wypadku ktokolwiek płaciłby dwadzieścia pięć tysięcy rupii za to, żeby otrzymać w policji stanowisko konstabla? Bo są w tym grube pieniądze. Co zwykły człowiek może na to poradzić? Jak się może zabezpieczyć? Droga sądowa jest zbyt skomplikowana i zbyt kosztowna. Poza tym trwa latami, a i sądownictwo nie jest wolne od korupcji. Niby dlaczego miałyby być, jeśli skorumpowane są wszystkie inne dziedziny życia?

Od kolebki po grób: płac

Nikhil i Sunita sami siebie zaliczają do „niższej klasy średniej”. Nikhil jest nauczycielem fizyki w koledżu w północnym Delhi, a Sunita uczy w szkole podstawowej – prywatnej, co podkreśla. Szkoły prywatne są lepsze, w klasach jest nie więcej niż dwadzieścioro uczniów, podczas gdy w państwowych i po pięćdziesięciu. Siedzę sobie z Nikhilem na werandzie mieszkania, które wynajmują za sporą część rocznych zarobków. Nikhil narzeka na sytuację w kraju i na korupcję. W międzyczasie Sunita robi nam herbatę.

– Popatrz, co się tu dzieje. Nie ma żadnego porządku. Jak to państwo ma funkcjonować, jeśli wszyscy kradną? Kiedy premier w wywiadzie telewizyjnym oświadcza publicznie, że w sprawach korupcyjnych jest bezradny. Kiedy w parlamencie zapewnia, że powoła specjalny urząd antykorupcyjny do którego ludzie, przedsiębiorcy, będą mogli się skarżyć – bez strachu – na próby wymuszania na nich łapówek przez urzędników, to w całym kraju rozległ się wielki śmiech. Rozejrzyj się, chłopie, wokoło, po ławach rządowych – mówią ludzie – to będziesz wiedział, kim są najbardziej skorumpowani ludzie w tym kraju! Sam premier jest w porządku, jak się wydaje, no chyba żebyśmy się czegoś ciekawego dowiedzieli za kilka lat, ale co się dzieje wokoło widzą nawet dzieci. A on chce tworzyć speckomórkę antykorupcyjną!

Pytasz, za co musi płacić zwykły człowiek, taki jak ja? Za wszystko. Kiedy urodziła się nasza córka Rajana, musiałem wręczyć urzędnikowi pięćset rupii za świadectwo urodzenia. W innym wypadku bym go nie dostał pod tysiącem pretekstów. Na dodatek jeszcze sprzedał mój adres hidżrom, czyli grupie eunuchów i transwestytów, którzy – ta tradycja ma setki lat – oblegają dom nowonarodzonego i wymuszają na rodzicach opłatę.

– Jak to wymuszają? – pytam.

– Przyjeżdża ich ze dwudziestu, trzydziestu. Tańczą, grają na bębnach, wygłupiają się, obnażają publicznie, wymyślają, a czasem nawet posuwają się do rękoczynów, więc trzeba im zapłacić, żeby sobie poszli.

– A nie prościej wezwać policję?

– Nie, bo i tak nie przyjadą. Zresztą sami biorą od hidżrów pieniądze. Potem dziecko idzie do szkoły. Pewnego dnia nauczyciel wzywa cię i mówi, że syn czy córka ma kłopoty z nauką i należałoby im zorganizować korepetycje. Korepetytorem byłby naturalnie on sam, za jakieś pięćset, tysiąc rupii miesięcznie. To co, nie weźmiesz go? Zaryzykujesz obłany egzamin? Dostęp do adresu i telefonu członka komisji egzaminacyjnej do szkoły średniej, albo na uniwersytet kosztuje około dwóch tysięcy rupii. Jeśli masz pieniądze, to lepiej skorzystać, bo inni to zrobią bez wątpienia. A gdybyś chciał dziecku jeszcze bardziej pomóc, to wyłóż pięćdziesiąt tysięcy na zdobycie pytań. Nic trudnego, kiedy się chce i może. Nie masz pracy, a chcesz, żeby urząd pośrednictwa przysłał ci ofertę – daj urzędnikowi tysiąc rupii. Ile za założenie telefonu, to wiesz, bo sam to przerabiałeś. Ale jedźmy dalej: chcesz prawo jazdy? Tak. Z egzaminem czy bez? Od razu mówię, lepiej bez, bo z egzaminem tylko się namęczysz, a wcale nie zapłacisz mniej. Motocyklowe kosztuje pięćset–siedemset rupii. Za pojazd dwuśladowy tysiąc pięćset. I to jest sprawiedliwe, bo samochodem jeżdżą bogatsi. Teraz wiesz, dlaczego nikt w Delhi nie przestrzega przepisów ruchu drogowego? Nie? Przecież nikt ich nie zna! Pociągnięcie elektryczności do mieszkania to dwa tysiące rupii. Wystawienie paszportu w normalnym terminie, to pięć tysięcy rupii, ekstra szybko daje się załatwić za piętnaście. Rozwód w sądzie: za znalezienie twoich papierów dajesz klerkowi dwieście pięćdziesiąt rupii. I tak dalej i tak dalej. W końcu – umierasz. Trzeba zapłacić spalaczom zwłok ekstra dwieście, trzysta rupii, żeby im się chciało spalić twoje ciało porządnie, do samego końca. Ale to, na szczęście już nie twoja sprawa. To już zmartwienie rodzinki. Tak, tak, przyjacielu, korupcja to prawdziwy smok.

Trzeba wynająć ciężarówkę

Kiedy znalazłem mieszkanie do wynajęcia, mój przyszły landlord poprosił o pokazanie paszportu. Oglądał go z dużym zainteresowaniem ze wszystkich stron, w szczególności zaś wizę. W końcu spytał, jak długo zamierzam mieszkać w Indiach. Odpowiedziałem, że tylko pół roku i na tyle potrzebuję mieszkania. Odetchnął z ulgą i nasze negocjacje zakończyły się sukcesem. Zaprzyjaźniliśmy się później i czasami,

kiedy nie było zbyt gorąco, chodziliśmy sobie razem na spacer dookoła sztucznego jeziora w naszej dzielnicy. Opowiadałem mu o Polsce, on o Indiach. To było bardzo interesujące. Zapytałem kiedyś, dlaczego tak dokładnie studiował mój paszport.

- Chciałem wiedzieć, jak długo zamierzasz tu pozostać.
- Ale po co?
- Nigdy nie można być zbyt ostrożnym wynajmując komuś mieszkanie – wyjaśnił
- może się tak zdarzyć, że ktoś wynajmie, a potem przestanie płacić.
- No to się go z mieszkania wyrzuci. Czy w Indiach jest inaczej?
- To nie jest takie proste. Powiedzmy, że wynajmę mieszkanie biznesmenowi, który nawet dobrze zapłaci, nawiasem mówiąc tobie wynająłem za pół ceny, ale ty jesteś cudzoziemcem. Wolę wynająć cudzoziemcowi za pół ceny niż Indusowi za dwa razy drożej, bo wiem, że obcokrajowiec się wyniesie. Biznesmen zapłaci więcej i, na przykład jednorazowo za pół roku. A potem przestanie w ogóle płacić. I co ja wtedy zrobię?
- Wyrzucisz go – doradziłem naiwnie.
- Nie da rady.
- Wezwiesz policję albo skierujesz sprawę do sądu.
- Nic z tego. Nawet jeśli policja przyjedzie to i tak nic nie zrobi, bo on powie, że płaci, a ja kłamię. Da im parę rupii to sobie pójdą. Będę musiał udowodnić, że nie płaci, więc pozostaje tylko sąd.
- No – mówię – to do sądu oszusta!
- A wiesz – pyta – ile może taka sprawa w sądzie leżeć?
- Ze dwa, trzy miesiące – mówię.

Landlord się tylko roześmiał.

- Dwa, trzy, dziesięć lat! Zobacz, to jest proste. Biznesmen jest bogatszy ode mnie. Kim ja jestem? Zwyczajnym doradcą prawnym, kiepsko płatnym adwokatem, który miał szczęście i odziedziczył dom. Co ja mogę? W porównaniu z nim – nic. On ma pieniądze. Może być analfabeta, ale jeśli ma pieniądze to może wszystko. Bardziej mu się opłaci skorumpować kilku urzędników w sądzie, żeby odsuwali sprawę w nieskończoność. A to będzie inna, ważniejsza, a to zabraknie jakiegoś dokumentu, a to zaginie jakieś oświadczenie, a to wezwanie nie dotrze na czas. Ile to kosztuje? Grosze w porównaniu z czynszem. A w tym czasie będzie sobie mieszkał za darmo. Ja zaś będę tracił podwójnie: stracę czynsz i będę ponosił koszty sądowe, legalne i nielegalne, bo przecież też będę musiał korumpować. To będzie wojna na to, kto da więcej. Ostatecznie wygra bogatszy, czyli on, nie ja. Takich sytuacji jest w Indiach sporo. Niedawno czytałem o byłym generale lotnictwa, który ogłosił dharnę przed swoją własną willą – usiadł na chodniku i głoduje już od dwóch tygodni. Wynajął ją piętnaście lat temu. Po roku podnajemca przestał płacić i od tego czasu sprawa jest w sądzie. I co on może? Generał człowiek wpływowy, nie to co ja! Też nic, jak się okazuje.

- Więc jakie jest wyjście z takiej sytuacji?
- Wyjście jest jedno: trzeba wynająć ciężarówkę.
- Rozumiem. Gość wychodzi do pracy, podjeżdża ciężarówka, wynajęci ludzie

wyrzucają z mieszkania jego graty i wywożą gdziekolwiek. Facet wraca, a tu drzwi zamknięte, zamki wymienione i po kłopotcie.

– Nie, to się robi inaczej. Przecież w mieszkaniu zawsze ktoś jest, żona, teściowa, albo służący. Spróbujesz takiego wyrzucić: to się zrobi sprawa o napaść albo spowodowanie uszkodzenia ciała. Można sobie w taki sposób narobić więcej kłopotu niż to warte. Nie, to załatwia się inaczej. Widziałeś jak tu jeżdżą ciężarówki?

– Widziałem.

– I co o tym myślisz?

– Myślę, że jak się widzi jadącą ciężarówkę i jest się w pobliżu, to trzeba uciekać.

– No, właśnie. Znajdujesz więc jakąś ciężarówkę, to proste, bierzesz kierowcę i pokazujesz mu tego osobnika, który sprawia ci tyle kłopotu. Ustalasz z nim cenę i po kłopotcie.

– Ale w jakim celu?

– Żeby go przejechał.

– Przecież mogą go za to zamknąć!

– Niewielka szansa. Najpierw musieliby go złapać, a nawet jeśli, to się wybroni, że nieumyślnie, że mu wyskoczył prosto pod koła, są tysiące sposobów. W najgorszym wypadku dostanie pięć lat, wyjdzie po dwóch, ale swoje dwadzieścia pięć tysięcy rupii zarobi. Starczy mu na skuter. W sumie wychodzi taniej niż kosztowałoby korumpowanie sądu przez dziesięć, piętnaście lat. Generał lotnictwa powinien o tym poważnie pomyśleć.